

KERRI MANISCALCO

JAK UJAĆ
DIABŁA

SERIA STALKING JACK THE RIPPER

TOM IV

TŁUMACZYLI

MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA

I PIOTR BUDKIEWICZ

must read

Tytuł oryginału

CAPTURING THE DEVIL

Copyright © 2019 by Kerri Maniscalco

All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish translation by

Media Rodzina Sp. z o.o.

Grafika na okładce Olgierd Ludwiczak

Skład, łamanie oraz projekt typograficzny okładki

Radosław Stępniaak | **SISLY**studio

Postaci i zdarzenia w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących lub zmarłych, jest przypadkowe i nie jest zamierzone przez autorkę.

Zdjęcia za zgodą Wellcome Collection (s. 74, 202, 215, 337, 342);

Shutterstock (s. 14, 26, 107, 270, 386, 446, 485); Alamy (s. 165);

domena publiczna (s. 159, 281, 475).

Cytat na s. 7 z Juliusza Cezara Williama Szekspira

w tłumaczeniu Leona Ulricha, wolnelektury.pl

Cytat na s. 9 i 483 z Romea i Julii Williama Szekspira

w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego, wolnelektury.pl

Cytat na s. 11 z Burzy Williama Szekspira

w tłumaczeniu Leona Ulricha, wolnelektury.pl

Pozostałe elementy graficzne Shutterstock.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-247-5

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

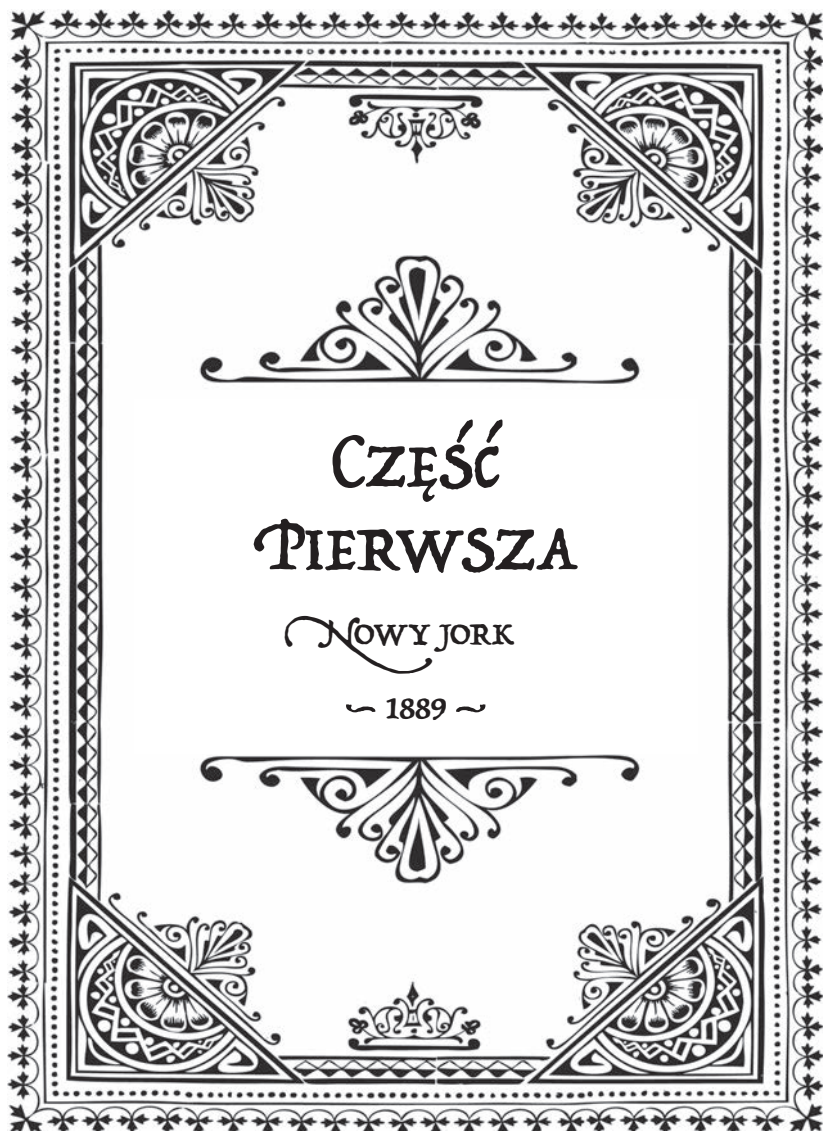
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.



CZĘŚĆ
PIERWSZA

~ NOWY JORK ~

~ 1889 ~



Nowy Jork, ok. 1889 roku



TARGOWISKO WEST WASHINGTON
DZIELNICA RZEŹNIKÓW, NOWY JORK

21 stycznia 1889 roku

KIEDY OTWORZYŁAM DRZWI POWOZU i nie odrywając wzroku od uniesionego topora, chwiejnie wysiadłam na ulicę, powitał mnie lodowaty podmuch wiatru. Rozmyte promienie słońca zdawały się skapywać z ostrza niczym świeże krople krwi, co przypomniało mi o niedawnych zdarzeniach. Niektórzy pewnie nazwaliby je koszmarami. Głęboko we mnie obudziło się uczucie podobne do głodu, ale pośpiesznie je stłumiłam.

– Panno Wadsworth?

Wóznicza wyciągnął ku mnie rękę, czujnie przypatrując się twarzom umorusanych ludzi, którzy tłumnie się przepychali przez West Street. Zamrugałam i przypomniałam sobie, gdzie jestem i kto mi towarzyszy. Spędziłam w Nowym Jorku już niemal trzy tygodnie, a nadal wszystko tutaj wydawało mi się nierzeczywiste.

Wóznicza oblizał spierzchnięte wargi i dodał z napięciem:

– Pani stryj życzył sobie, żeby zabrać obie panie prosto do...

– Zachowajmy to w tajemnicy, Rhodes.

Po tych słowach zacisnęłam dłoń na lasce i ruszyłam przed siebie, wpatrzona w mętne czarne oczy. Topór w końcu opadł i z głuchym trzaskiem rąbnął w drewno, po drodze przecinając rdzeń kręgowy na wysokości karku. Oprawca – jasnowłosy mężczyzna, na oko dwudziestolatek – wyciągnął ostrze z trupa i wytarł je o przód zbryzganego krwią fartucha.

Ze względu na podwinięte rękawy koszuli i zroszone potem czoło rzeźnik na moment skojarzył mi się ze stryjem Jonathana tuż po otwarciu zwłok. Kat odłożył topór i szarpnięciem odsunął martwą kozę, sprawnie oddzielając jej łeb od tułowia.

Podeszłam nieco bliżej. Zaciekało mnie, dlaczego głowa zwierzęcia nie stoczyła się z rzeźnickiego pniaka, jak się tego spodziewałam. Łeb przeturlał się na bok po grubej desce i zniechęcony, wpatrując się martwym wzrokiem w zimowe niebo. Gdybym wierzyła w życie po śmierci, miałabym nadzieję, że koza trafiła do lepszego świata, daleko stąd.

Skupiłam się na tuszy. Zwierzę ubito i oskórowano gdzie indziej, więc oglądałam ciało pokryte biało-czerwoną mapą krwizującej się tkanki łącznej, tłuszczu i chudego mięsa. Stłumiłam w sobie narastającą potrzebę wyrecytowania półgłosem nazwy każdego mięśnia i ścięgna. Od miesiąca nie przeprowadziłam żadnej sekcji zwłok.

– Jakie to apetyczne – usłyszałam.

Moja siostra cioteczna Liza w końcu do mnie dołączyła. Złapała mnie pod rękę i pociągnęła za sobą, żebym zeszła z drogi mężczyźnie, który właśnie rzucał czeladnikowi wypchany płócienny worek. Dopiero teraz zauważyłam cienką warstwę trocin pod stopami rzeźnika. Pył drzewny dobrze chłoniął krew przed zamiataniem, o czym wiedziałam dzięki wielu godzinom spędzonym w laboratorium stryja i w akademii medycyny sądowej w Rumunii, gdzie przez krótki czas się uczyłam. Stryj nie był jedynym Wadsworthem z zamiłowaniem do krojenia zmarłych.

Rzeźnik przerwał rąbanie kozy i spojrzał na nas lubieżnie. Bezcelnie zlustrował nas wzrokiem, po czym gwizdnął z aprobatą.

– Zdzieram gorsety szybciej niż skórę z kozy. – Uniósł nóż, gapiąc się na mój dekolt. – Chcesz się przekonać, figlarko? Powiedz słówko, a zobaczysz, co jeszcze potrafię zrobić z takim ciałkiem.

Stojąca obok mnie Liza zamarła. „Figlarkami” często nazywano kobiety, które rzekomo źle się prowadziły. Jeśli ten człowiek sądził, że się zarumienię i ucieknę, to ogromnie się pomylił.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale nie jestem pod wrażeniem. – Od niechcienia wysunęłam skalpel z torebeczki zawieszanej na przegubie. – Tak się składa, że i ja patroszę trupy, choć nie zaprzątam sobie głowy zwierzętami. Usuвам wnętrzności ludziom. Życzy pan sobie pokazu?

Z pewnością dostrzegł na mojej twarzy coś, co go zaniepokoiło, gdyż cofnął się o krok i uniósł zrogowaciałe dłonie.

– Nie chcę kłopotów – oznajmił. – Tylko żartowałem.

– Ja również – powiedziałam. Zbladł, kiedy obdarzyłam go słodkim uśmiechem, jednocześnie kołysząc skalpelem. – Szkoda, że przeszła panu ochota na zabawę. Inna sprawa, że wcale mnie to nie dziwi. Mężczyźni pańskiego pokroju zbyt często się przechwalały po to, żeby zamaskować swoje... mizerne możliwości.

Liza otworzyła usta ze zdumienia i natychmiast mnie odciągnęła. Gdy nasz powóz odjechał bez nas, westchnęła ciężko i powiedziała:

– Wytlumacz mi, moja droga, dlaczego opuściłyśmy ciepły elegancki powóz, żeby przechadzać się wśród... – Wskazała parasolką rzędy pniaków i straganów z półciętym mięsem, które rzeźnicy zawijali w brązowy papier. – ...tego wszystkiego.

Smród jest po prostu koszmarny, a towarzystwo jeszcze gorsze. Nikt nigdy nie zwracał się do mnie w równie prostacki sposób.

Postanowiłam przemilczeć swoje wątpliwości w tej kwestii. Spędziłyśmy ponad tydzień na pokładzie transatlantyku, gdzie zetknęłyśmy się ze znanym z rozpusty cyrkiem. Już po pięciu minutach znajomości z jego młodym dyrektorem byłam świadoma, że to diabeł wcielony, i to pod wieloma względami.

– Zapraǳeńłam na własne oczy zobaczyć dzielnicę rzeźników – skłamałam. – Może znajdę tu natchnienie do przyrządzenia idealnego drugiego dania. Co myślisz o pieczonej koźlinie?

– Zupełnie coś innego niż przed dekapitacją kozy. – Liza wyglądała tak, jakby zbierało się jej na wymioty. – Wiesz, do czego służą książki kucharskie? Można z nich czerpać inspirację bez wysiłku i robienia jatki. To oczywiste, że znowu chcesz jak najbardziej zbliżyć się do śmierci.

– Nie mów głupstw. Jak możesz tak myśleć?

– Rozejrzyj się, Audrey Rose. W tym mieście jest tyle ciekawych miejsc, a ty wybrałaś akurat tę okolicę na spacer.

Oderwałam wzrok od oskubanego kurczaka, który lada moment miał podzielić los rozczłonkowanej kozy, i ze sceptycyzmem rozejrzałam się wokół. Krew miarowo skapywała z licznych drewnianych stołów rzeźniczych przed sklepami i rozbryzgiwała się na ziemi.

Wnioskując z plam w przeróżnych odcieniach, nikt nie mył ulic nawet po dniu wyjątkowo natężonego ćwiartowania zwierząt. Żyłki szkarłatu i czerni wiły się wśród szczelin między kocimi łbami – dopływy starej śmierci łączyły się ze strumieniami nowej. Oczy mnie zapiekły, a serce szybciej zabiło, gdy poczułam zapach miedzi przemieszany ze smrodem odchodów.

Na tej ulicy śmierć była namacalna. Była spełnionym marzeniem mordercy.

Gdy Liza omijała wiadro z oszronionymi podrobami, jej ciepły oddech w mroźnym powietrzu skojarzył mi się z parą

buchającą z gorącego czajnika. Nie byłam pewna, czy moją siostrę bardziej razi bliskość aż tylu wnętrzności, czy raczej fakt, że są częściowo zamrożone. Zamyśliłam się nad ukrytym we mnie mrokiem, dzięki któremu nie czułam najmniejszego obrzydzenia. Być może nadeszła pora na nowe hobby.

Najwyraźniej uzależniałam się od krwi.

– Zaraz zatrzymam inny powóz. I tak nie powinnaś spacerować przy tej pogodzie. Wiesz przecież, co mówi stryj o takim zimnie. Popatrz tylko. – Liza wskazała głową nasze stopy. – Buty nasiakają wodą jak chleb zupą, kiedy go w niej zanurzyć. Zmarzniemy tu na kość.

Nawet nie zerknęłam na swoje stopy. Odkąd przyjęłam cios nożem w nogę, nie nosiłam ulubionych ślicznych pantofelków. Dzisiaj włożyłam płaskie i nijakie buty ze sztywnej skóry. Liza miała rację. Przejmująca wilgoć wniknęła przez szwy i wsiąkła w pończochy, a tępy ból w kościach, który niemal nigdy mnie nie opuszczał, jeszcze się nasilił.

– Stać! Złodziej!

Policjant zagwizdał gdzieś nieopodal, a wtedy kilka osób wyrwało się z tłumu i rozbiegło po uliczkach niczym roznoszące dżumę szczury. Odsunęliśmy się szybko, żeby przypadkiem nie paść ofiarą uciekających kieszonkowców i złodziejasków.

– Upieczone w całości prosię aż nadto wystarczy – dodała Liza. – Nie przejmuj się.

– Właśnie o to chodzi.

Przywarłam do budynku, kiedy minął mnie biegnący chłopiec. Jedną ręką przytrzymywał swój kaszkiet, a w drugiej trzymał coś, co wyglądało jak zegarek. Pędzący z tyłu policjant gwizdał nieprzerwanie, lawirując między sprzedawcami.

– Nie mogę się nie przejmować. Urodziny Thomasa są już za dwa dni – przypomniałam Lizie, tak jakbym nie mówiła tego ze sto razy w ostatnim tygodniu. Gwizdek posterunkowego i krzyki stopniowo cichły, więc znowu ruszyłyśmy wzdłuż

rzeźniczych straganów. – To pierwsza uroczysta kolacja, którą organizuję, więc chcę, żeby wszystko poszło idealnie.

Pan Thomas Cresswell – mój nieznosny, lecz niezaprzeczalnie czarujący partner w wyjaśnianiu zbrodni – i ja przez dłuższy czas omijaliśmy temat zalotów i małżeństwa. Zgodziłam się przyjąć jego oświadczyzny, o ile wcześniej zwróci się do mojego ojca, jednak nie sądziłam, że wszystko rozegra się tak szybko. Zналиśmy się zaledwie od pięciu miesięcy, ale uważałam, że podejmuję słuszną decyzję.

Większość młodych kobiet z moich kręgów wychodziła za mąż w wieku około dwudziestu jeden lat. Ja czułam się starsza, zwłaszcza po wydarzeniach na pokładzie RMS Etrurii. Przystałam na to, żeby Thomas napisał do mojego ojca list z prośbą o spotkanie, podczas którego zamierzał przedstawić swoje intencje. W tym momencie mój ojciec i ciotka Amelia płynęli z Londynu do Nowego Jorku, więc zbliżał się czas oficjalnych zalotów, zwieńczonych zaręczynami.

Jeszcze niedawno na myśl o związku czułabym się jak uwięziona w niewidzialnej klatce. Teraz z kolei miałam irracjonalne obawy, że coś uniemożliwi mój ślub z Thomasem. Niedawno omal go nie straciłam i za nic nie mogłam dopuścić do tego, żeby to się powtórzyło.

– A poza tym... – Wyjęłam z torebki list od znakomitego paryskiego szefa kuchni i radośnie pomachałam kopertą. – ...monsieur Escoffier kategorycznie zażądał najlepszego mięsa. I jak wiesz, stryj nie zadowolił się byle kawałkiem twardej giczy. – Mocniej oparłam się o laskę. – Dlatego będę się przejmowała.

Liza chyba zamierzała polemizować, ale tylko przyłożyła perfumowaną chustkę do nosa i spojrzała na mechaniczne sklepienie nad naszymi głowami. Przenośnik taśmowy z hakami sunął przy wtórze szczęku kół zębatach i podzwaniania metalu obciążanego nieustannie dokładanymi połaciami świeżego mięsa, a cały ten hałas nakładał się na odgłosy ulicznego

zgiełku. Liza obserwowała z zadumą, jak szczątki wjeżdżają do budynków, gdzie niewątpliwie rozbierano je na jeszcze mniejsze części.

Moja siostra zapewne szukała kolejnego powodu, dla którego powinnam siedzieć w domu i odpoczywać, ale po kilku tygodniach w Nowym Jorku czułam się aż nadto zrelaksowana. Nie miałam ochoty słuchać, co mogę robić, a czego już nie. Sama wiedziałam to najlepiej.

Naprawdę zależało mi na tym, żeby osiemnaste urodziny Thomasa były wyjątkowe, lecz moja obsesja miała również inne źródło. Z obawy, że jeszcze bardziej uszkodzę nogę, stryj nie pozwalał mi swobodnie opuszczać domu babci, więc odchodziłam od zmysłów z beczynności i nudy. Zająłam się organizacją urodzinowej imprezy nie tylko ze względu na Thomasa, ale i dla siebie.

Naturalnie byłam wdzięczna siostrze ciotecznej za wsparcie. Liza i Thomas zabawiali mnie na przemian, czytając głośno moje ulubione książki i grając na pianinie. Wystawili nawet kilka sztuk teatralnych, co mnie rozbawiło i zarazem zdumiało. Liza śpiewała jak słowik, w przeciwieństwie do Thomasa, który wypadł tragicznie. Wrzaski kocicy w rui byłyby miłsze dla ucha, ale przynajmniej się przekonałam, że nie jest uzdolniony w każdej dziedzinie, co ogromnie podniosło mnie na duchu. Byłoby mi naprawdę ciężko, gdyby nie Liza, Thomas i książki. Dzięki przygodom na kartach powieści nie smuciłam się tym, co mnie omija w prawdziwym świecie.

– Personel kuchenny twojej babci poradzi sobie z zakupami według wskazówek pana Ritza. Czy to nie on polecił nam pana Escoffiera? Nie powinno się oglądać takich scen przed przymiarką sukni. – Liza wskazała głową rzeźnika, który właśnie wydłubywał oczy z koziego łba i wrzucał je do miski. Brzuch kozy był rozcięty i gotowy do wypatroszenia. – Nawet jeśli się przywykło do makabrycznych widoków.

– Śmierć to część życia. Oto przykład. – Popatrzyłam wymownie na świeże mięso. – Gdyby nie śmierć tej kozy, ludzie by głodowali.

Liza zmarszczyła nos.

– Albo po prostu musieliby nauczyć się jadać rośliny – uważała.

– To bardzo śmiałe stwierdzenie, niemniej rośliny też musiałyby ginąć, żeby ludzie przetrwali.

Zignorowałam ukłucie bólu w nodze, kiedy uderzył w nas wyjątkowo lodowaty powiew wiatru znad rzeki Hudson. Sine chmury wybrzuszały się, zwiastując nowe opady śniegu, który – jak mi się wydawało – sypał nieprzerwanie już od miesiąca. Z przykrością musiałam przyznać rację stryjowi: tego wieczoru miałam ponieść konsekwencje swojego spaceru.

– A poza tym moja przymiarka jest za dwadzieścia minut, więc zostało mnóstwo czasu na...

Urwałam, gdy przechodząc w szytym na miarę ciemnobrązowym palcie i w meloniku w tym samym kolorze raptownie odskoczył, w ostatniej chwili unikając obrzydliwej kąpieli, kiedy wiadro nieczystości wylało się z okna czynszowej kamienicy prosto na chodnik. Nieznajomy wpadł na mnie, a laska, którą wytrącił z mojej ręki, wylądowała na ziemi obok jego lekarskiej torby pełnej znanych mi narzędzi. Mężczyzna zignorował torbę i mocno chwycił mnie za ramię, żebym nie upadła i przypadkiem nie nadziała się na coś ostrego.

Prostując się, popatrzyłam na wysuniętą z rozpiętej torby całkiem sporą piłę do kości. Zauważyłam też coś, co wyglądało jak projekt architektoniczny, i pomyślałam, że ten człowiek może być lekarzem, który buduje własny gabinet. Kiedy nieznajomy się upewnił, że już nie grozi mi upadek, puścił mnie, po czym szybko podniósł swoją torbę, wrzucił do niej narzędzia medyczne i zwinął rysunek.

– Najmocniej przepraszam! – odezwał się. – J...jestem Henry. Nie chciałem... Naprawdę powinienem w końcu zacząć patrzeć, dokąd idę. Mam dzisiaj milion spraw na głowie.

– Tak, powinien pan. – Liza podniosła moją łaskę i posłała mu gniewne spojrzenie, którego nie powstydziałaby się nawet ciotka Amelia. – Zechce pan wybaczyć, na nas pora.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na moją siostrę i zamknął usta: nie byłam pewna, czy z powodu jej urody, czy temperamentu. Chyba usiłował zebrać myśli, kiedy Liza uważnie mu się przyglądała.

– Żegnaj pana. – Ponownie ujęła mnie pod rękę i wyniosła głowę, potrząsając karmelowymi włosami. – Jesteśmy spóźnione na bardzo ważne spotkanie.

– Nie zamierzałem...

Nie czekając, aż pan Henry opowie o swoich zamiarach, Liza poprowadziła nas przez labirynt stoisk, wśród rzeźników i sprzedawców. Jedną ręką ścisnęła lekko uniesioną bladozieloną suknię i parasolkę, drugą ciągnęła mnie za sobą. Poruszaliśmy się zdecydowanie zbyt prędko jak na moje możliwości, więc w końcu oswobodziłam się i ruszyłam ku West Street.

– Co to, w imię królowej, miało być? – spytałam, wskazując na mężczyznę, przed którym właściwie uciekłyśmy. – Przecież nie chciał się ze mną zderzyć, a poza tym niewątpliwie go zauroczyłaś. Gdyby nie twoje bezdennie nieuprzejme zachowanie, mogłybyśmy zaprosić go na przyjęcie. Przecież jeszcze wczoraj ubolewałaś, że nie masz z kim flirtować.

– Owszem, ubolewałam.

– No właśnie. Był uprzejmy, trochę niezdarny, ale nieszkodliwy i chyba miał miły charakter. Nie podobają ci się bruneci?

– No dobrze. – Liza przewróciła oczami. – Skoro musisz wiedzieć, imię Henry za bardzo kojarzy się z Harry, a chwilowo mam dosyć mężczyzn o imionach zaczynających się na literę H.

– Co za absurd.

– Nie większy niż styczniowy spacer wśród rzeźniczych straganów. W jasnej sukni. Czy mimo to narzekam, droga siostrzo? – spytała, a ja wymownie uniosłam brwi. – Nic na to nie poradzę! – krzyknęła. – Wiesz, jak bardzo denerwuję się przed spotkaniem z mamą, zwłaszcza po mojej doprawdy krótkotrwałej ucieczce z cyrkiem.

Po wzmiance o Księżycowym Cyrku obie przez chwilę milczałyśmy, wspominając magię, psoty i chaos, które na zawsze wdarły się w nasze życie za sprawą zaledwie dziewięciu dni na pokładzie liniowca RMS Etruria. Pod tym względem cyrk zdecydowanie spełnił zapowiedzi z plakatów reklamowych. Cyrkownicy narobili mnóstwa kłopotów, niemniej byłam dozgonnie wdzięczna Mefistofelesowi za lekcję, której celowo lub przypadkiem mi udzielił. Pod koniec tego przekłętego rejsu nie miałam już żadnych wątpliwości co do małżeństwa z Thomasem. Zniknęły niczym magik prezentujący skomplikowaną iluzję.

Pewność dodała mi skrzydeł.

Liza owinęła się szczelniej peleryną i ruchem głowy wskazała boczną ulicę.

– Powinnyśmy jak najszybciej iść do Dogwood Lane Boutique – zauważyła. – Żadna krawcowa, która pobierała nauki w House of Worth, nie lubi, kiedy każe się jej czekać. Chyba nie chcesz, żeby jej irytacja odbiła się na jakości twojej nieszczęsnej sukni?

Zerknęłam za siebie, chcąc jeszcze raz się przyjrzeć alejce ze straganami mięsnymi, ale już byliśmy za daleko od zachłapanego posoką bruku. Odetchnęłam powoli i głęboko, zastanawiając się, czy tylko z powodu nudy i przyjęcia Thomasa fascynowałam się jedną z najbardziej krwawych dzielnic Nowego Jorku. Od zakończenia naszego śledztwa w sprawie morderstwa minął niemal miesiąc. Przez ostatnie trzy wspinałam

tygodnie nie towarzyszyła nam śmierć, zniszczenie i widok wszystkiego, co najgorsze na świecie.

Powinnam się z tego cieszyć, tymczasem jednak martwił mnie dziwny ucisk w brzuchu. Gdybym nie była pewna, że nie o to chodzi, mogłabym pomyśleć, że to objaw rozczarowania.



Suknie' zdobione' koralikami i koronką